Rok VI. 15 Kwietnia 1934. Nr. 16

DZWONECZEK

Drogą ofiary.

(Święta królowa na polskim tronie).

Są na świecie w mowie ludzkiej różne słowa... Radosne i piękne, jak kwiaty; słowa słodkie i gorzkie, lub ukąśliwe; złe, bolesne, słowa jak osty, ciernie, czy kamienie. Są także takie, od których brzmienia bledną i chmurzą się najbardziej pogodne czoła; słowa, co licom odbierają krasę, a skronie okalają aureolą świętości. Do takich należy słowo: ofiara.

Młodziutkiej, zaledwie dwunastoletniej Jadwidze, latorośli królewskiego andegaweńskiego rodu, wcześnie, bardzo wcześnie troska poznaczyła piękną twarzyczkę, a wątłe barki pochylił ciężar maleńkiego słowa: ofiara.

Królować ona miała z woli ojca, Wielkiego Ludwika, na ojczystych Węgrzech, przy boku pięknego księcia rakuskiego Wilhelma, z którym była od dzieciństwa zaręczona... Śnią się cudowne sny młodej królewnie, marzeń się snuje przędziwo: panowanie, królestwo, władza i on, nad wszystko umiłowany Wilhelm, towarzysz zabaw dziecięcych.

Lecz ojciec umiera. I oto matka, ta istota najbardziej bliska dla młodziutkiej królewny, ciężar ofiary kładzie na jej wątłe ramiona. Postanawia Marję, starszą córkę, na węgierskim osadzić tronie, zaś młodziutką Jadwigę wysłać do Polski.

Trzysta pięćdziesiąt komnat wyszohradzkiego zamku na Węgrzech olśniewało przepychem i jarzyło się od sreber i świateł, gdy gościły rycerstwo polskie, przybyłe po nową władczynię. A ta, na łonie matki oparłszy swoją głowę, o zmiłowanie i o litość prosi. Jakże to? Porzucić ojczyznę na zawsze? Porzucić matkę? Siostrę? Dworki ukochane i całe to życie, w którem wzrosła? Toć dziecko jeszcze! Pączek zaledwie rozkwitający, lecz opromieniony już blaskiem cnót i urody i wdzięku... ale pączek.

Rzewne było pożegnanie młodziutkiej Jadwigi z matką, rodziną i otoczeniem. Strumieniem po jasnej twarzy spływały łzy perliste; może przeczucie miała już ta słodka dzieweczka, że od tej chwili duch jej pójdzie coraz wyżej a wyżej, drogą ofiary.

* * *

Przez tatrzańskie góry jedzie orszak wspaniały i świetny. Zbrojne hufce polskiego i węgierskiego rycerstwa otaczają zwartem kołem młodą władczynię, Kazimierza Wielkiego wnuczkę, co ze łzą w oku i lękiem w sercu wjeżdza w swe dziedzictwo. Chylą się siwe głowy rajców krakowskich i kłonią się sztandary, a okrzyki radosnego zachwytu wyrywają się z piersi zebranych tłumnie poddanych, gdy królewna wjeżdza w bramy Krakowa.

Dzwonią wszystkie dzwony kościelne, Jadwiga w progi katedry wawelskiej wstępuje. Cieszy ją wprawdzie zapał Polaków, bawią młodocianą duszyczkę dowody zachwytu i uwielbienia, lecz gdy zamkną się podwoje jej królewskich pokoi, znów blednie jej piękna twarz i dziwnym lękiem ściska się serce. Lękiem przed ofiarą, co wyglądać się zdaje z ponurych komnat wawelskiego zamku i z poważnych twarzy panów krakowskich. Wzrok tęskny śle królewna

za tą Wisłą szarą w dal płynącą: gdzie matka, gdzie Węgry ukochane, gdzie Wilhelm.

Moralną udręką i osamotnieniem krwawiło się serce Jadwigi! I nawet wtedy, gdy na skroniach jej zabłysła w dniu koronacji korona złota, i wtedy, gdy dzwony obwieściły Polsce, że ma już króla, gdy zabrzmiały trąby i fletnie na jej cześć — i wtedy łzy wzruszenia błyszczą w jej pięknych oczach. Czy potrafi, czy podoła?

Król — dziewica, gość tak bardzo w Polsce oczekiwany, promieniejąca czystością duszy Jadwiga zasiada na starym piastowskim tronie. Cięży, kresą czerwono siną znaczy czoło królowej korona, ciężą kosztowne szaty i gnie się w nich wiotka postać czternastoletniej dzieweczki. Gnie się i kłoni, lecz się nie cofa! Z odwagą córy królewskiej przyjmuje ciężkie i uciążliwe obowiązki władczyni nowego państwa. A potem z prawdziwą chrześcijańską szlachetnością uczuć przebacza tym wszystkim, co byli przeciwni jej wyborowi, a koniecznie chcieli mieć na tronie Ziemowita, ostatniego z Piastów Mazowieckich.

Po kamienistej drodze ofiary Jadwiga idzie, w poświęceniu bez granic kocha się jej piękna dusza.

(*Ciąg dalszy nastąpi*). *E. Burchardówna.*

W szpitaliku.

Siostra Aniela chodziła po dużej sali, pełnej małych białych łóżeczek i zapisywała temperaturę poranną. Był to oddział chirurgiczny. Zakonnica śpieszyła się bardzo, bo dwie jej pomocnice zachorowały na grypę, więc dużo miała do roboty. A tu tyle kłopotu z temi dziewczynkami. Jedne płaczą, inne krzyczą, że je rana boli, że chcą do domu. Szczególnie awanturuje się Józia, widocznie bardzo rozpieszczona. Codzień ktoś z domu do niej przychodzi, operacja udała się dobrze, z każdym dniem jej lepiej, a przecież jest najniecierpliwszą ze wszystkich. Dziś najwięcej z nią kłopotu. Siostra nie ma jednak czasu nią się zajmować, więc jej nawet nie strofuje, tylko zmierzywszy i zaznaczywszy temperaturę, normalną już zupełnie, idzie dalej. Na ostatniem łóżku leży nowa pacjentka, bardzo blada i smutna. Siostra jej jeszcze nie zna, ale ten smutek uderza ją, więc zatrzymuje się i pyta:

— Jak się czujesz dziecinko?

Zamiast skargi, słyszy ciche:

— Dobrze — ale oczy chorej patrzą taksamo smutnie, gdzieś daleko przed siebie.

Siostra delikatnie pogładziła jej główkę i wyszła zarządzić rannym posiłkiem. Ciągle bardzo zajęta, zdołała jednak zauważyć, że nowa pacjentka jest najcichsza ze wszystkich i że nikt do niej nie przyszedł z miasta. Koło Józi zato aż się roiło, bo i rodzice oboje i ciotka i rodzeństwo. Następnych dni powtórzyło się tosamo. Siostra Aniela zbliżyła się do samotnej dziewczynki:

— Ty nie masz tu nikogo z bliskich?

— Nie.

— A gdzie twoi rodzice?

— Nie żyją.

— I nie masz rodziny?

— Nie, jestem sama.

— U kogo mieszkasz?

— U stryjenki.

— A ona dobra dla ciebie?

Dziewczynka nic nie odpowiedziała. Więc Siostra usiadła przy łóżku i poczęła gładzić jej biedne przeźroczyste rączki.

— Boli cię rana?

— Boli bardzo.

— Doktór mówił, że było z tobą dosyć ciężko, ale że wyzdrowiejesz z pewnością.

— Ja nie chcę wyzdrowieć, ja chcę umrzeć — westchnęła dziewczynka.

— Co ty mówisz, dziecko, tak nie wolno, to grzech!

— Ale ja chciałabym iść już za mamą, bo mnie tu tak źle samej — mówiła i łzy potoczyły się po jej bledziutkiej twarzy.

Siostra, wzruszona, poczęła je obcierać i mówić łagodnemi słowy do biednej małej sierotki, pocieszać ją, jak mogła, przypominając o Bogu, który jest ojcem sierot. Dziewczynka słuchała uważnie.

— Mnie tego nikt nie mówił — rzekła wreszcie -- tam nikt mnie nie kochał, więc dlatego chciałam iść do mamy i cieszyłam się, jak zachorowałam na ślepą kiszkę... Ale teraz to już chcę żyć, kiedy tak trzeba. Niech Siostra tylko przychodzi mówić mi często o Bogu i Matce Boskiej

Na szczęście dla dziewczynki pomocnice Siostry Anieli ozdrowiały, ona więc mogła zająć się więcej biedną Janinką. Gdy dziewczynkę wzięto raz do sali opatrunkowej, zakonnica przemówiła do reszty chorych, prosząc o dobroć dla sierotki. Mówiła o jej cichości i cierpliwości, choć jak sam lekarz mówił, cierpiała najwięcej. A była taka biedna, sama, że aż umrzeć chciała.

— Trzeba — dodała — żebyście wy, szczęśliwsze od niej, stały się dla niej siostrami.

Chore dziewczynki wzięły sobie bardzo do serca tę przemowę. Najwięcej Józia. Prosiła więc Siostry, by śliczną książkę z obrazkami, jaką dostała, położyła na stoliczku Janinki, druga dziewczynka, która już wstawała, przywiązała jej do łóżka śliczny czerwony balonik; trzecia dała obrazek św. Tereni; inna fijołki i tak każda coś podarowała. Gdy Janinka wróciła z opatrunku, nie poznała swego łóżka.

— To nie moje — rzekła cicho, bo ją rana bardzo nanowo rozbolała.

— Twoje, twoje, to ci dziewczynki zrobiły niespodziankę — rzekła Siostra.

Uśmiech rozjaśnił twarzyczkę chorego dziecka.

— Dziękuję wam bardzo, tak dawno nic nie dostałam od nikogo — i wąchała fijołki z radością, głaskała z pieszczotą książkę i śmiała się z balonika.

Później rodzice i krewni dziewczynek, dowiedziawszy się o jej sieroctwie, przynosili i jej podarki. Stała się „córeczką i siostrzyczką“ wszystkich.

— No, jak dziecku jest? — spytała raz znowu Siostra Aniela.

— Oj dobrze, Siostrzyczko, ale co później będzie?

— Już mówiłam z Matką Przełożoną. Weźmie cię do naszej ochronki i będzie ci tam dobrze.

Będziesz naszą córeczką, będziesz się u nas uczyła, a potem pracowała na siebie. Twoja mateczka droga wyprosi ci u Boga, że będziesz dobra i szczęśliwa.

Janinka ucałowała gorąco rękę Siostry Anieli.

— Jak to dobrze, żem zachorowała i przyszła do szpitalika!

— To Bóg tak wszystkiem pokierował, bo On myślał o tobie wtedy, kiedy ci się zdawało, że nie masz nikogo na świecie.

Janinka, pod opieką Sióstr czuła się bardzo szczęśliwą. Uczyła się dobrze, pracowała chętnie, była wesoła i wdzięczna siostrze Anieli, która, jak zawsze o niej mówiła, wyszukała jej dom i rodzinę. *P. St.*

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.

(Ciąg dalszy).

Okazuje się bowiem, że zrazu zdawało się, jakobyśmy mieli do czynienia z gatunkiem jeszcze nieznanym przyrodnikom; tymczasem takiego samego ptaka posiada już niejedno muzeum, dzięki uczonym podróżnikom, którzy nas już dawno wyprzedzili w tych stronach, a zwłaszcza dzięki polskim przyrodnikom, którzy pod tym względem przed wielu laty dokładnie zbadali, obce jeszcze wtedy dla nauki, przestrzenie Peru i Ekwadoru. Między tymi wymienia mi pan Stefan najczęściej nazwiska Konstantego Jelskiego i Jana Sztolcmana z Warszawy, których żmudnej pracy, poświęceniu dla nauki i sumiennym opisom zawdzięcza mój profesor odpowiednie przygotowanie do swej zamorskiej podróży. Ja sam pamiętam mnóstwo wspaniałych okazów fauny międzyzwrotnikowej, jakie mi niegdyś pan Skierski pokazywał i objaśniał w Gabinecie Zoologicznym przy Uniwersytecie Warszawskim, a które tam wszystkie właśnie pan Sztolcman ofiarował, jako zdobycze swych podróży po Ameryce Południowej.

VI.

Znowu zaniedbałem się w pisaniu. Ale ostatniemi czasy tak mnie zmordowały moskity i komary, że bywałem niezdolnym nawet do obowiązkowych robót pomocniczych u boku profesora. Gdyby nie namiot perkalowy, szczelnie nas osłaniający na noc, komary zjadłyby nas śpiących. W dzień zato niema sposobu obronienia się przed natrętnością niesłychanej masy maleńkich owadów dwuskrzydłych, które tu Hiszpanie nazywają moskitami lub rodadorami, my zaś po polsku zwiemy je meszką. Zapuszczają one swój jadowity ryjek w ciało nasze, na którem zrazu tworzy się białawy bąbel z kroplą krwi wpośrodku, poczem na długo zostaje czarna plamka.

Nicby to nie było strasznego, ponieważ świerzb po meszce nie trwa zbyt długo. Lecz kto sobie wyobrazi tę wieczną plagę w tutejszym klimacie, gdzie przez cały dzień powietrze przepełnione jest miljardem meszek, ten zrozumie, w jakim stanie znajduje się człowiek, gdy ten świerzb, ciągle odnawiany, nigdy nie ustaje. Nie wiem co lepsze, czy ten dzienny moskit, czy tamten nocny komar. W każdym razie, spędzić całe życie w kraju, gdzie niema ucieczki przed temi dwiema plagami, musiałoby być czemś strasznem. Mój Boże, jak ja czasem, patrząc na wszelkie dziwy, jakie tu pod równikiem spotykać mogę, wzdycham przecież z utęsknieniem do dalekiej Ojczyzny...

C. d. n.

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Szarada.

Pierwsze znajdziesz w gramatyce wśród przyimków mnogiej rzeszy. *Trzecie* na elementarzu każdy sztubak ci pokaże. *Drugie* sterczy z każdej szczęki, tak tygrysa, jak panienki. Ślicznie w lesie *pierwsze-trzecie* kiedy pora już nadejdzie. *Całość* mała zabaweczka; choć podobna do człowieczka, mocno różni się od niego, bo to tylko na wzór jego.

Łamigłówka.

Kiedy w piecu chcę napalić, *wprost* to biorę — i buch w piec. Gdy przeszkodę chcę przesadzić, *wspak* to zrobię — i koniec.